

Plaszkin Ani sobie ani Muzom



Ani Sobie

Ani Mizom

A. Staszkin



ABRAHAM PTASZKIN

ANISOBIE  
ANIMUZOM

PRZEŁOŻYL Z ŻYDOWSKIEGO  
MAURYCY SZYMEL

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 71  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA — 1936  
SKŁAD GŁÓWNY: DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ



*Oktadka L. Mandla*

22.443

*Druk. „Monolit“ Warszawa, tel. 5-81-92.*

<http://rcin.org.pl>

## OD TŁUMACZA

Poezja buntu i protestu przeciwko niesprawiedliwości społecznej nie jest czemś nowem w literaturze żydowskiej. Piśmiennictwo Żydów wyrasta bowiem z wielkich objawień twórczych, odnoszących się właśnie i tylko do gromady. Do niej apelował Dekalog i Pięcioksiąg, do ludzkości przemawiali prorocy i wielcy poeci religijni. Słowem, od zamierzchłych czasów toruje sobie literatura Żydów drogę do sumienia ludzkiego, dążąc do ulepszenia i przebudowy stosunków społecznych. Lecz kategorjami życia współczesnego przemówiła poezja społeczna dopiero w chwili, gdy dwaj wielcy pisarze kładli podwaliny pod gmach żydowskiej kultury świeckiej. Już ich pseudonimy charakteryzują najlepiej ich twórczość. Pierwszy z tych prozaików zasłynął wśród ludu żydowskiego jako Mendele Mocher Sfortm (Handlarz książkami), drugi zaś jako Szalom Alejchem (Pokój z wami). Obaj byli sumieniem żydostwa, obaj spełniali szczytną misję wielkich nauczycieli ludowych.

Jeśli o mowę wiążaną chodzi, to prekursorami żydowskiej poezji proletarjackiej byli w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku Morris Winczewski i Dawid Edelsztadt. Najpopularniejszym jednak poetą ży-

dowskich mas ludowych był w czasach przedwojennych Morris Rozenfeld, którego utwory tłumaczono na kilka języków europejskich. Była to jednak twórczość prymitywna w formie i wielce nieskomplikowana w treści. Pierwszym wielkim poetą społecznym w literaturze żydowskiej, którego działalność naznaczona jest stygmatem burzliwej współczesności, jest H. Lejwik. Poezja jego wypływa z najgłębszych pokładów kultury żydowskiej i poprzez jej pryzmat dopiero wyraża protest i bunt przeciwko niesprawiedliwości świata i ludzi. Młodzież literacka nie uznaje jednak Lejwika za swego patrona, zamało jest bowiem kosmopolityczny tak w formie jak i w wyrazie. Młodzież szuka dróg, łączących ją z całą pracującą i walczącą ludzkością.

Jednym z takich bezkompromisowych młodych poetów jest również autor niniejszej książki. Nutą dominującą w jego wierszach jest *n i e p o k ó j*. Jest to jedyna, ale zasadnicza nuta *ż y d o w s k a* u tego poety. Któż bowiem lepiej wyrazi niepokój epoki schyłkowej, aniżeli Żyd, ten najautentyczniejszy symbol wszelkiego niepokoju, Żyd, stojący sam jeden w wichrze świata, Żyd, będący zaprzeczeniem wszelkich przyjętych i ugruntowanych pojęć.

Takie słowa, jak „dzisiaj“ i „jutro“, powtarzają się w wierszach Ptaszki w sugestywnych a urozmaiconych konfiguracjach myślowych i rytmicznych. Najsilniej jednak przemawia ów niepokój w rytmie. Rytm tych wierszy jest szorstki, chropawy, oddający świetnie nastrój i klimat każdego poszczególnego utworu. W rytmach tych słyszymy uciążliwe czołganie się



tanków, to znów zdławiony krzyk człowieka, męczego zmorą współczesności. Nad wszystkimi wierszami unosi się groza nieuniknionej katastrofy i odbłask chwili, wyprzedzającej zwycięstwo.

Odnajdzie to jednak tylko czytelnik uważny, bo Ptaszkin nie należy do poetów „efektownych“, kokietujących tanim a niewybrednym liryzmem lub usiłujących nabrać czytelnika na płytki sentymentalizm. Ptaszkin jest oszczędny w wyrazie, jest skupiony i świadomy celu. W wierszach swoich nie unika poeta prozaizmów chłodnych, logicznych, potrącających dość często o publicystykę. Podejście to jest słuszne, gdyż Ptaszkin porusza w swych wierszach sprawy dnia powszedniego i twórczość swoją poświęca szaremu człowiekowi. Tego to właśnie człowieka pragnie poeta podnieść na duchu, wyrwać z odrętwienia i wyjaśnić mu zawile drogi współczesności. Upatruje bowiem w tym człowieku bohatera nadchodzących czasów i budowniczego nowej epoki.

Stąd radość, która drży w głębi każdego wiersza Ptaszkina, gdyż każdy wiersz to seismograf, notujący zarówno depresję społeczną, jak i oznaki nadciągającej burzy, oczyszczającej atmosferę i zwiastującej nowe czasy i nowe człowieczeństwo. Jest to radość walki — a zarazem drugi zasadniczy ton poezji Ptaszkina.

Wiersze, zawarte w tej książce, przetłumaczono z dwóch zbiorów tego poety: „Od jesieni do jesieni“ i „Jeśli chcecie, nazwijcie to szczęściem“.

M. S.

Warszawa, styczeń 1936 r.

1250

The following is a list of the names of the persons who have been  
 named in the above mentioned report, together with the names of  
 the persons who have been named in the above mentioned report, and  
 the names of the persons who have been named in the above  
 mentioned report, and the names of the persons who have been  
 named in the above mentioned report, and the names of the persons  
 who have been named in the above mentioned report, and the names  
 of the persons who have been named in the above mentioned report,

1250

## SŁOŃCE ZACHODZI...

Leniwie rozplywa się dym okrętu.  
Za morzem kończy się świat.  
Paszcze fal ryczą  
Jak grzmoty dalekie.

Wielki był dzień,  
Jak kula olbrzymia,  
Konająca po zachodniej stronie.

Wielki jest ból wszystkiego, co kończy się już.

Szary miotacz min napływa z horyzontu.  
Brzeg jest niewinny i cichy jest port,  
Lecz cień złych godzin pada na zadumę  
I ryczy krwawo  
W nienawiści flag.

## ZMIERZCHA

Godzina zmierzchu.  
Szara godzina smutku i zrozumienia.

Gdy minął dzień,  
Wyjaśnia się droga,  
Która nie wraca.

Nie żałuj serca, wyczerpanego wrzawą.

Pociąg pojechał,  
Lecz turkot kół brzmi ciągle w uszach.  
Bo z nami pozostał smutek,  
A radości jeszcze nie odkryto.

Głębiej, mój rydlu, głębiej,  
Bo dzień jest w głębi,  
Bo dzień jest w trudzie,  
A promień błysnie  
Na skraju serca,  
Na szybie oka,  
Które noc zasnęła  
Ślepym chłodem.  
Już miękkim zmierzchem  
Nabrzmał las.  
Daleko gdzieś splywa  
Błada łąka.

**Temu, kto rozumie, nie potrzeba pocieszenia.**

☛ | . . . |

**Niebo zbliża się, a cień,  
Opierający się o drzwi,  
To człowiek znużony,  
Który szuka westchnieniem pomocy.**

## WIECZÓR NAD MORZEM

Cicho mówi z tobą wieczór,  
Jak fala spokojna z brzegiem.  
Nad morzem wisi zwiewna zasłona,  
A za nią  
Nieznany dobry dzień  
Z cudem w ręku.

Pierś morza ledwo oddycha.  
Na piasku leży ciało milczenia  
I sięga aż po krańce świata.

Skądże nadciąga ta tęsknota,  
Która osiada świtem życia  
Na głazach nagrobnych?

Za nocami klóćą się ludy,  
A pomruk walk rozrywa granice.  
Pułki ślubują wierność sztandarom,  
A mord czeka burzy,  
Która uwieńczy mu skroń koroną.

A może zdąży jeszcze z cudem swoim,  
Cicha tęsknota stroskanego człowieka,  
A mroczny brzeg zapłonie światłem  
Nowej radości.

## N O C

I znowu jesteś sam  
Z tą swoją troską jedyną,  
Z nocą, której gwiazdy płyną,  
Jak utajone drogi lat.  
Ich oddech mówi coś tajemniczymi słowy,  
A ty zrozumieć nie możesz tej mowy.

Miękka jest droga gwiazd i gładka.  
Noc obejmuje świat,  
Jak młoda matka.  
A ból wżera się w serce, jak w dom opuszczony i pusty,  
A wrota lat pozamykane są na wszystkie spusty,  
Tylko wstęga krwi płynie cicho na piasku.  
Nisko opuszcza się niebo pełne gwiazdowego blasku,  
A dotyk jego jest jak wspomnienie minionej radości.  
Twarzą, zwróconą ku nocy, stoisz otwarty naościęz  
I, prześwietlony nagle zrozumieniem,  
Wiesz już, że jest to krew świata,  
Podmywająca pył i kamienie,  
To cielsko ziemi starej,  
I że sztylet tkwi w mięsie ofiary.

Więc wzbiera w tobie głos jak morze,  
A cisza go przemóc nie może,  
A noc przypada gwiazdami,  
Jak stęsknionemi wargami,  
I słowa zaczynają wzlatywać, ulatać,  
Jak stado ptaków ku niebu:  
„Powieście kata!“

## CZŁOWIEK NA ULICY

Noc. Mokry chodnik. Krata przy kracie.  
Więzienie. W więzieniu przyjaciel.  
Jedni ważą grzechy,  
Drudzy przyjmują los swój ślepo i z uśmiechem.  
Czasem przejdzie człowiek i zniknie w mgle,  
Czasem stanie i zamyśli się.  
Pijak obejmuje latarnię ramieniem,  
Jak romantyk gwiazdy jesieni.  
Czyż ma jeszcze miejsce ta ziemia daleka  
Dla stroskanego, cichego człowieka?  
Dumni wodzowie gotują wojnę,  
A z nią i wieczność nocy znojnę.  
Gdzie wpierw uderzą armaty starym zwyczajem?  
Nad Renem czy nad Dunajem?  
Wszędzie, do wszystkich trafią bram:  
I tu i tam, i tu i tam.  
Zwycięsko ruszy huf mikrobów jak szarańcza z nieba.  
Nie będzie komu trupów grzebać.  
Noc. Na mokry kamień blask światła padł.  
Któż może pojąć świat?  
I stoi jeszcze człowiek, cały w myślach jak w mgłach.  
W oku błysnęła mu łza.



## POD BRAMĄ SZPITALA

Szara mgła. Mgła słoty.  
W bankach liczą banknoty.  
Jak ślepa uliczka, którą zmierzch oprószył,  
Jest noc bezrobotnego.  
Całą siłą duszy tęskni do kraju świętego.

W latarniach ledwo tli się gaz.  
Po dalekim świecie pędzą pociągi,  
Wjeżdżając w serca głodnych miast.

U szpitalnych bram  
Stał jeden długo i sam.  
Jakże dostać się do kraju świętego,  
Do łóżka białego?  
Tam — spokój wzniosły i zupa gorąca.  
A tu — kamiennosc wilgocią ziejąca.

Jest późno i ciemno wokół.  
A nuż ktoś zaprosi.  
Kto i dokąd?  
Poco czekać?  
Wiatr płacze w szpitalnym ogrodzie.  
Obdartego człowieka  
Potracił przechodzień.  
Machnął ręką. Poszedł w mrok nieruchomy.  
Szara mgła umorusała domy.

**Noc — to wskazówka znieruchomiła.  
W głodnym mózgu słodka się pieśń rozśpiewała.**

**Na oświetlonych schodach  
Kwiaty w mglistych woalach.  
Może to śmierć teraz weszła do szpitala?**

## S Ł O T A

Kto wdziera się ciężkim dyszlem w drżącą noc,  
Oślizgłą w jesiennym deszczu?  
Nikt pyskować się nie waży,  
Gdy pan wydaje rozkazy.

Między sobą w domu  
Szeptają niewolnicy  
Cicho i pokryjomu.  
Do łóżek włazi mróz.  
We śnie drży ciało.

Oni — to stado owiec tylko,  
Stado, drżące ze strachu wśród wilków.

Nocą płacze twardo  
Obrażony mężczyzna:  
„Pomóż, przyjacielu, i wybaw od złego,  
Jak długo starczy odwagi,  
Jak długo trzeba mi tego.“

„Grzeszni jesteśmy i grzeszny — świat“  
Mówi cichy asceta z żalem.  
W nagich gałęziach skowycze wiatr  
I biegnie dalej.

W chore noce gna jeździec.  
Jak mgła na rynkach wyrasta  
I oświecła czerwienią  
Miasta.

## BURZLIWA NOC

Cóż to za ciężki chód,  
Idący w noc?

Drzewa jęczą na wietrze.  
W strachu rodzi się krzyk.  
Ostry gwizd przekłuwa powietrze,  
Jak lancet ciało zsiniałe od ran.  
Patrzę przez ciemność szyb:  
Za tankiem tank.  
Jak góra, wlecze stalowe cielsko  
Po przemokłych drogach,  
Jak góra, idąca na wroga.

Któż trzyma straż pod płotem nocy?  
Z mroku wynurza się pięść pełna groźby,  
Pięść jak tank.  
Rozzarzony rozkaz:  
Naprzód!  
Nikogo nie oszczędzi, nikogo  
Ta pięść pod płotem nocy.  
Nie ocaleje Europa ni Azja.

Na rozbitym progu  
W śmiertelnym strachu dygoce  
Burzuazja.

## WARUNEK

Noc. Po drugiej.  
Milczących domów szeregi długie.  
Surowe jest światło latarni,  
Surowe jak mus.  
W jesienny mróz  
Skrzypi stara wskazówka świata.

Ważą się szale:  
Kłosa — na prawej, a miecz — na lewej.  
Żelazo jest ciężkie.  
Ziemia łaknie krwawej ulewy  
I klęski  
I niedoli.

Porównanie boli.

Kto zapłaci  
Cenę cen?

W izbie obco.  
Wśród ulic ciasno.  
Dławi krok,  
Podparty płytą.  
Za nocą czeka  
We mgle i bieli  
Góra dynamitu.

**Na ciebie  
Płonie koszula.**

**Stój!  
Nie uciekaj burzom.  
I tak dosięgnie cię kula  
Na ciemnym podwórzu.**

**Noc. Mokry mur i mokry tynk.  
Twardy jest mróz.  
Jeden jest tylko mus:  
Żar święty, siła niepokonana —  
A ziemia runie na kolana.**

## U PROGU

Tak się różnym los człowieka widzi.  
Radości łakną inwalidzi.  
Płonie noc pełna wrzawy i w cudy zasobna.  
Płoną cuda razem i każdy zosobna.  
O oblężone wrota trąca  
Potęga sił wzburzona, falująca.

Taki czas rozwichrzony człowieczego brata  
I jasne szaleństwo, które się z niczem nie liczy  
U progu narodzin  
Nowego świata  
Na samym środku ulicy!

## RADOŚĆ SAMOTNA

Któż dał wam pozwolenie  
Na radość samotną  
I na samotny ból?

Pełen troski jest ranek jesieni.  
Stróż zmiata liście w ogrodzie.  
Miłe jest wam wino  
Tych bladych godzin,  
Gdy szarość wlecze się drogą,  
Gdy słońce zachodzi  
I gdy niema przy was nikogo.

Oto płynie wołanie dnia powszedniego,  
Tego przyjaciela jasnego,  
Który tchnąć chce w twe serce pokorne  
Surową dumę opornych.

Chory wypluwa świat  
I lepiej mu bez niego.  
Ja toczę dzień jak ciężki kamień,  
Ja bratu radość moją tłumaczę  
Twardemi słowami.

Wasi poeci zasypiają  
Z płaczącym wierszem u warg,  
A czas nie skąpi im kar.



**Jesienny ranek**  
**Stawia powiędłe kroki**  
**W lekkim chłodzie.**  
**W liściach skarży się złoty ból.**  
**Nieruchomo patrzą oczy**  
**Pozarzynanych godzin.**

## DZIEŃ W WIĘZIENIU

Słońce — żebrakom.  
Słońce — dziewczkom ulicznym.  
I filistrom. I snobom.

Na podwórzu kwiaty  
Witają kolorowem szyderstwem.

Cóż piękniejszego  
Nad dar wolnych kroków  
I dnia bez straży!

Tyle roboty dla rąk!  
Zdławione zamierzenia  
Są jak ramiona, podcięte  
W pełni pracy.

Dalekim polom we mgle  
Pilno do nasion siewcy.

A tu w chłodnym cieniu,  
Niewidzialne dla straży,  
Wznosi się z krwi i cierpienia  
Drzewo olbrzymie  
O niedosiężnych gałęziach,  
O ciężkiem listowiu,  
Wiszącem jak ciemna chmura  
Nad dachem żelaznym.

O, więzień tęsknoto kamienna,  
Ty jesteś dniem bez światła  
I nocą bezsenną.

## WIERSZ O PYLE

Przez cały dzień być w ruchu,  
Gdy grzbiet uginają wory. W worach kreda.  
W gardle jest sucho.  
Mnie bieda. Tobie bieda. Jemu bieda.

Jak długo trzeba żyć w tej mgle  
I szkło szlifować na słoje?  
Któż o to pytać śmie?  
W jarzmie przegrałeś życie swoje.

Przez okno świtem wita kaszląc  
Bładych promieni jasność ślepa.  
To śmierć. Ty znasz ją.  
Mrugnęła na cię. Jużesż przepadł.

Nie odrywając rąk od pracy,  
Słuchasz jak płuca płaczą krwawo.  
Kiedyś bywało inaczej.  
Kiedyś się nawet śpiewało.

Trzydzieści lat tak przeżyć troską.  
Kto śmiechom naszym śmiał zaprzeczyć?  
Życie wisi na włosku.  
Im — chleb, powietrze i inne takie rzeczy.

Ciebie duszą ciasne pokoiki,  
A napój snu jak cjankali.  
We dnie dławią fabryki.  
Nawet nadzieję zabrali.

Przekleństwo włada wargą twoją.  
Pył szary, wilgotny dławi.  
Jak można mówić o pokoju?  
Oni żądają sławy.

Nam przecież bogactw nietrza.  
Lecz dlaczego skąpią powietrza?  
Policzone są dni nasze. Wiem to.  
Nas wzywa śmierć przeklęta.

Za oknem jesień uśmiecha się blado.  
Chcemy, by piękniej było jak ninie.  
W czerwieni flag niech przyjdzie radość.  
Ja ginę. Ty giniesz. On ginie.

## DESZCZ

Mury i bruki załśniły deszczem.  
Jak długo można głodować jeszcze?  
Deszcz zmywa kamienie.  
Sensu męki nie zgłębisz myśleniem.  
Ten tylko mądry, kto dzierży bat.  
Słabemu nienawistny on jak kat.

Tępo uderza deszcz o bruk.  
Nędzarz jak delikwent upada z nóg.  
Wolności, krzyczą, że siłę masz!  
Ale krzyczących wypędza twoja straż.  
Niezatrudnione zwisają ręce.  
Myśl grzebie się i węszy w męce.

Kiedyż skończy się ta głupia gra?  
Oni liczą głosy „przeciw“ i „za“.  
Kto całuje bat,  
Myśli, że zbawia świat.  
Głodują wciąż i wyczekują jeszcze.  
Ulica kaszle uprzykrzonym deszczem.



## JESIEŃ

Jesienny deszcz siecze o szyby zamglone.  
Daleki Wschód pławi się w krwi.  
Gdzież jest ów pokój błogosławiony,  
Gdy mord w każdym czynie tkwi?

My chcemy pracy. Jesteśmy młodzi.  
Oczy pałają krzykiem.  
„Nas to nic nie obchodzi“  
Odpowiadają martwe fabryki.

Dziś znowu spadł funt  
I chwieje się dolar.  
Akcje dziko skaczą.  
Idzie zaraza jak mgła od pola.  
Serca płaczą.  
A szyld, czerwony jak bunt,  
Nad miastem pała:  
„Europa zbankrutowała!“

Deszcz szary siecze o szyby wieczorem.  
W głębinach nocy czyhają upiory.

## REDUKCJE

Nad każdym dniem, który puka nieśmiało do bramy,  
Trząść się jak nad ostatnim groszem.  
Wiedzieć, że na ciemnych schodach czeka noc  
I głód,  
A każda godzina, która nadciąga,  
To wróg.

Spojrzenie pogrzebać w sobie  
I w sobie je dźwigać jak w grobie  
I z szklanemi oczyma  
Iść przez ulice,  
Jak przez cmentarz jesienny.

Padać na kolana  
Przed każdym fałszywym promieniem,  
Który może już jutro dmuchnie mrozem,  
I obco ścisnąć dłoń brata,  
Jak rękę trupa.

A potem, zebrząc w milczeniu  
O koszyczek węgla  
W zimowy wieczór,  
Liczyć każdy krok w drodze do domu,  
Jak kroki na szubienicę.

A jeszcze potem dygotać  
W sennej, męczącej gorączce,  
Że może najbliższa godzina  
Legnie pod mieczem wyroku,  
I widzieć się w pustym mieszkaniu  
Na zardzewiałym haku.

## KSIĘŻYC

Cóż łatwiej, jak życie zgnieść na świetle,  
Ziarenko zboża w płonącym młynie.  
Gorzko żalą się bladzi poeci,  
A rzewny głos ich w ciszy płynie.

Dzień mroźny, pusty, markotny.  
Drewniane kroki na ulicy.  
Co śni się nocą bezrobotnym?  
Blaszany numer w dużej fabryce.

Cóż może spowiedź w głuchym urzędzie,  
Cóż może spowiedź żarliwa?  
Padają ludzie pokotem wszędzie,  
A głód ich hańbą przykrywa.

Smutne są mostów miejskich arkady.  
Daremny krok i nic z obietnic.  
Szary człowiek stracił posadę.  
Szary człowiek pójdzie na śmietnik.

Księżyc jak srebrna otwarta trumna  
Wisi nad ziemią mroźną i szklaną.  
A z nieba głos przyzywa dumny:  
„Bacz, by ci umrzeć spokojnie dano.“



## GRUDZIEŃ

— Złoto! Złoto!

— Pożyczka kto to?

— A jeśliś mocen,

To na ile procent?

Biegna maklerzy Londynu, Paryża, New-Yorku, że  
i trudno dogonić.

— Nasza rada: trwonić,

Bo jutro palić się będzie pod stopą każda piędź ziemi  
I dym będzie walił na progach kłębam ciemnymi.

Nie chcemy czekać, aż nam zabronią radości,

Aż głód będzie w żółtych skurczach rozrywał

wnętrznosci.

Niesie się pomruk nabrzmiałej wrzawy

Po brukach pełnych śnieżystej kurzawy,

Po brukach zimnych pod grudą zakrzepłą.

Dzieci płaczą: „Chcemy, aby było ciepło

W izbie, w łóżku i aby było gdzie się przytulić.“

Ale nikt ich nie słucha.

Wiatr zrywa się jak pies z łańcucha

I szczeka ostro w kretowisku ulic,

Gryzie dziko beton, przymarzły błotem,

Ryje w śniegu morcą ryżą.

W New-Yorku, w Paryżu

Miljony nędzarzy skomlą: roboty!,

Bo nie mogą już dłużej.  
Na wychudłych ich ciałach kwitną sine guzy.  
„Niech wiedzą dranie,  
Przed kim paść ma na kolana wołanie  
W noc, która w zaspach się dławi.“  
Syci obywatele chcą się bawić.  
Wiatr śmiechem wybucha w zamieci.  
Słodko kołysze się tango na gładkim parkiecie:  
„Jak długo sprzyja czas,  
Jedźmy i pijmy i tańczmy wraz...“

Dziko, z obłędem  
Wirują sale, rozkołysane jazz-bandem.  
— Uśmiechy twe, miła, świat spowijają jak wstążki.  
— Pieniążki wprzód, kochany, pieniążki.  
Krzyczą reklamy na jaskrawych ulicach pełnych  
śnieżystych brózd.  
Do bogatych barów nie przenika mróz.  
Tam jest ciepło jak w wacie.  
Ale za każdy oddech trzeba płacić.

Białe kwiaty spoglądają z szyb.  
Śnieg miasto utopił w bieli.  
Cienie leżą jak kupy piszczeli.  
Bogacze medytują, jak i kogo można jeszcze ograbić.  
Dla dzieci w kołysce przygotowują karabin.  
Nad rojowiskiem ulic jęczą godziny na mrozie.  
Czekajcie, a doczekacie, że noc zacznie — grozić,  
I ciężki, ochrypli głos zapłonie czerwono:  
„Wybraliście śmierć,  
Więc śmierć wam przysądono!“

## MRÓZ TRZYMA

Mróz trzyma.

Grób trzeba długo kopać, bo zima.

Świat cały w białej zamieci.

W zimnych izbach tulą się dzieci.

W omdlałych spojrzeniach pytanie:

„Kiedy przyniesiesz, tata, węgiel i kiedy będzie  
śniadanie?”

Bo i cóż im z nauki?

Wszyscy są głodni.

W mózgu ojca krzyczą myśli jak czarne kruki.

Ponuro mija tydzień za tygodniem.

Mróz trzyma i trzęsie światem.

W napalonych izbach piją przytulnie herbatę.

„Ciężkie czasy. Bida na bidzie.

A tu handel nie idzie,

A tu wszyscy mają pretensje.

Trzeba będzie obciąć pensje.“

A czasem mówi się poważnie o sensie świata,

O tem, że los nie sprzyja,

I o tem, że życie jak sen przemija.

Ale kto im przypomni zamarzyły ból

Błędnych dzieci?

Jakżeż więc stłumić nienawiść na świecie!

W dużych biurach siedzą ludzie i nic nie wiedzą

o mrozie.

W oczach ich błyszczą wilcze kły.

A ty,

Zamiast grozić,

Prosisz o pomoc.

Już od lat nie było takiej zimy w domu.

Mróz skrzypi na trotuarze.

Spojrzenia bezrobotnych są jak cmentarze,

Gdzie straszą upiory.

Każdy champion ma swoich wielbicieli.

Reporterzy zginają się jak scyzoryk:

„Jak można świat uzdrowić i wybielić?“

W parlamentach urzędują obstrukcje.

Ale kto ocali cichą dziewczynę, pracującą w banku,

Gdy zimna koperta na stole zapowiada redukcję?

„Gospodarstwo jest chore“

Mówią z namysłem łyse profesory,

Mrużąc oczy kurze.

A biedna dziewczyna wisi już w izbie na sznurze.

Ubyła ojczyźnie.

Na ścianie kołysze się teraz jej cień,

A matka szuka ratunku w truciznie.

Przysięgliśmy, że piły nasze przepiłują ten spróchniały  
pień.

Wichr wyje zamiecią.

Białą radość białego śniegu

Głodnym wydzieracie dzieciom

I sami nie wiecie dlaczego.

Czy inaczej będzie kiedyindziej?

Odpowiada na to pan w cylindrze:

„Przepraszam!  
Temu, że cierpi lud, jest winna partja wasza,  
Bo kraj jest wielki i bogaty, gdy ziemie obrodzą,  
Ale przywódcy wasi szkodzą,  
A to jest draństwo —  
Trzeba szanować państwo“.

A nogi marzną, bo w izbie nie napalono.  
Bezrobotni klną na darmową zupę, którą przesolono:  
I zjeść jej nie można i wylać — żal.  
Na cześć „Królowej Zimy“  
Urządzają damy z komitetu bal:  
„Przyjdź, Panie Ministrze, bardzo prosimy“.

Wyją burze, w czarne noce ujadają.  
Szamocą się w wichrze drzewa i padają.  
Ktoś barczysty i duży  
Wybiegł w noc z siekierą w rękę, z płonącymi oczami  
I przy każdym płocie i przy każdym murze  
Przystaje,  
Podcina i łamie...

## KONIEC MARCA

Pij! — oni każą.  
Nie zaglądał do kielicha.  
Jeden jest jawnym zbrodniarzem,  
Drugi — robi to zcicha.

Oni są zadowoleni: minęła zima.  
Brudny i zawstydzony leży śnieg na skwerze.  
Pozbawionym chleba trudno jest dzień przetrzymać.  
Nogi wloką się ciężko po błocie świeżem.

Złym gniewem serce wezbrało,  
Jak pianą — rzeka.  
Cóż to się z nami stało?  
Każda nam droga — daleka.

W którą byś nie poszedł stronę,  
Wszędzie dzień sądu uderzy,  
Jak chmura naładowana gromem,  
Jak pięść kamienna z wysokiej wieży.

Słońce grzało strugą złotą.  
Błoto topi się w parku.  
Wyrok jest gotów.  
Nieszwojo jest głowie na karku.

## ŚMIERĆ OBYWATELA

Szary obywatel:  
Suma obowiązków i praw.  
Tak było przed laty,  
Lecz od kiedy w Rzymie  
Siedzi Mussolini,  
Orzeka wszędzie sąd z swych sław,  
Jakby czytał z książki,  
Że niema praw,  
Tylko — obowiązki.

Kultura  
To zaledwie  
Fabryka haseł ponura.  
„Duce, Duce eviva!“  
A obywatel dogorywa.  
W opuchłe noce, wyjące szarugą,  
Wisi jego gardło  
Między jedną śmiercią a drugą.

Nie oplakuj sprawiedliwości ani niczego, co umarło.  
Daj spokój tęsknotom.  
Bądź raczej gotów!  
Bo czemże jest w ten krwawy czas, który trwa,  
Człowiecza łza?  
I kto dłoń poda komu,  
Gdy prosi: „pomóż!“

Słodkim jest wstyd przyjaciela,  
Gdy dogorywa  
Na środku miasta  
Lub na podwórzu.  
Ja używam.  
Trzeba używać.  
Bije dwunasta.  
A tam gdzie bajdurzą  
O nędzy, o pracy,  
Niby składnie, niby z umiarem.  
To sęp  
Rzuca się na swą ofiarę.

U bogatych  
Zbiorą sumę niewielką.  
Kto odpowiada na bełkot  
I kto usłyszy?

Słuchają, parskając śmiechem  
W pokojach zdobnych w kwiaty.  
Lecz zanim wysłannik przyszedł,  
Umarł obywatel.



## K I N O

Tłumy płyną do kina,  
By świat widzieć w czarach zabawy.  
Iluż jest wśród was z piętnem Kaina?  
Jak powstrzymać nienawiść?

Śmiech wybucha na sali.  
Sama radość brawo bije.  
Stróża wolności wygnali.  
A teraz: kto kogo zabije?

Dla ludzi smutnych trudzić się boleśnie,  
Dla szukających posady?  
Ten silny, kto da sobie radę,  
I ten, kto przyjdzie wcześniej.

A jemu w głowie głupie rymy snuć:  
Skuleni, zadowoleni...  
A tu trzeba kuć  
W dymiącym marszu płomieni.

Płaczący jest sprawiedliwy,  
Ale łzy są daremne.  
Kim jesteś i o czym myślisz w nocie ciemne  
I czy paszport masz prawdziwy?

**Z kina wychodzą elegancy panowie,  
Zlekka uśmiechnięci, bładzi, czyści.  
Panujący ma zawsze trzeźwo w głowie.  
Pijani są tylko rewolucjoniści.**

**Księżyc krzywi się zdaleka.  
Jeden policzek puchnąć mu zaczyna.  
Gdzieś waży się życie człowieka.  
Ludzie wychodzą z kina.**

## WSZYSCY NA PLACU

W niewolników obfituje świat.  
Tylu ich! Moc!  
Na samotnym okręcie odpłynąć od portu:  
Za tobą noc  
I kat  
I bunt nieuśmierzony.  
Tajfunom płynąć naprzeciw zielonym,  
Przed oceanem stanąć do raportu  
I w fal poryku, w wichrach i pianach  
Meldować, że walka wygrana.

Matko, wybacz mi,  
Ty nie pojdziesz tej żarliwej tęsknoty.  
Ostre podejrzenie  
Przebija niepokój dni  
Jak grotem.  
„Czy wolno?“  
Jęk braci w poszumie fal  
Wypełnia dalekość dokolną.  
Czy nie podeprzesz ramieniem  
Walącej się barykady?  
Czyżby krok twój gotował zdradę?

Kto ciska w mroźny mrok granatem?  
Próżne pytanie i próżna troska.  
Mrok jeszcze nie zrzędził.

**Nocą grzmi dumnie i jasno nad światem  
Rozkaz.  
Poznajesz? To grzmi bohater  
Wiednia.  
Poprzez legalny splot głodu i spleenu  
Bije w ogłuchły mur  
I ciemność przeryna swym głosem jak racą,  
Rzuconą z gór:  
„Wszyscy na placu!“**

## U S T A W Y

W ciężkiej trosce rodzą się ustawy, rządzące światem.  
„Lud jest niewdzięczny. Lud nie zna się na tem.“

Bogowie kręcą krwawy film. I płonie ekran.  
Czyż jest gdzieś kamienne dno tej grozy i tego piekła?

Dni — twierdze oblężone. Łakniemy nowin.  
Za chleb płaci motłoch życiem. Biada motłochowi.

Radość iskrzy się w chwil złotych winie gorącym.  
Coctail. Obnażone plecy. Spętane żądze.

Czemże darzą biedaka? Przekleństwem. I kogóż to  
wogóle obchodzi,  
Ze po drugiej stronie świata walczą ze śmiercią starzy  
i młodzi?

Nieproszone ręce pchają się śmiało do rany.  
„Na bok! My dla chorego zdrowie i chleb mamy.“

Precz z lekami, gdy krew chlusta!  
Tu trzeba grzmotu. Burzy. I nowych ustaw.

## P O E C I

Nie z lirą  
Na wysoki piedestał  
Od krwi ofiar czerwony.  
Zamało satyry  
Na moralność Sorbony.

Ja przychodzę z drzeniem  
I z karą i z przerażeniem,  
Nie rycerz odwieczny  
I nie żalobnik pokutujący.  
Tu cios i wybuch konieczny  
I lęk aż po końce palców gorących,  
A nie ulga dla krzyczącego bólu.  
Tu trzeba gradu kamienistego,  
A nie słów, które tulą,  
Tu trzeba walić w garby skał,  
Jak w mur,  
I nie ustawać od zmierzchu do świtu,  
Póki grzmot dynamitu  
Nie wstrząśnie szczytami śnieżnych gór.

Tak za wolnością będziem biec i krwawić pięście,  
Aż ją przemocą zwrócimy światu.  
Jeśli chcecie, nazwijcie to szczęściem,  
Lecz nie na rynku za zapłatą  
Wzięliśmy je, by nieść je w dal,  
Ale ujrzeliśmy to szczęście  
W burzliwym drzeniu szal.

## PROPAGANDA

Filozofowie, artyści!

Współcześni esteci!

Poeci!

W okrutnym zawrocie dziejów

Zamało jest żyć nadzieją

I biały, daleki sen, który mamy,

Pieścić zakochanemi palcami.

Odmęt krwi schody podmywać już zaczął.

Rzeczą zwyczajną jak błoto w zaułku

Staje się hańba i skandal.

Dla płaczu

Jest miejsce w przytułku.

Propaganda!

Pomoc dla wiernych żołnierzy.

Plakatem i słowem trzeba uderzyć.

W sławie panoszy się wszystko i tonie.

Torpedą w nią, torpedą!

Koniec.

Credo.

## TYSIĄC RAZY SIEDEM

Kłębią się fale w pienistym biegu

Do brzegu.

Ryczą fale w dzikiej gonitwie:

„Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz,

Aż nie wypełni się czas,

Póki wspaniały werbel bębna

Radosnej wieści nie przyniesie,

Żeśmy mur przełamali

I żeśmy wroga wygnali.

Wszyscy jak jeden!

Tysiąc razy siedem,

Tysiąc razy tysiąc razy siedem!

Ryczą pieniste kły

W nocy burzliwej mgle:

„Nie, nie, nie!

Nie odpoczniemy po przegranej,

Bo wszystko musi być zrobione.

Tak długo nie zaznamy snu,

Dopóki godzin blask świetlany

Nie wzejdzie w białym śmiechu świata —

Jestem tu, jestem tu, jestem tu!“

Noc w fal poryku nie ulata,

Choć już szarzeje w mgłach godzina.

Wciąż jeszcze czeka wielki znój,

A pomruk fali przypomina:

„Na bój, na bój!“



## T A T R Y

Nie stanęła jeszcze stopa moja  
W ludu mojego prastarym domu,  
A oczy nie widziały jeszcze  
Ani miasta naszych siwych tęsknot —  
Jerozolimy,  
Żalęcej się pod kopcem zastygłych pokoleń,  
Ani nie widziałem młodego miasta  
Tel-Awiw,  
Drzemiącego nad brzegiem morza  
Jak słoneczny kwiat.

A jednak wiem, że ludu mojego kolebka  
To cały świat.  
A świat jest piękny i wspaniały,  
I tylko ludzie krzywią ścieżki  
I czynią brzydkim dzień.

Więc otom przyszedł ja,  
Syn ludu niemiłego światu,  
By czas urlopu  
Spędzić wśród strzelistych Tatr.  
A tu wspaniałość taka groźna i surowa  
Spadła mi na oczy,  
I taka cisza wiekowego milczenia  
Otoczyła mnie,  
I taki skalny cud  
Rozkwita ostro i wysoko nade mną.

I zrozumiałem nagle, że dom świata  
Tu właśnie osiadł w radości i grozie.  
Wśród dolin wędruje błogosławieństwo.  
Spokojne ścieżyny i dziki granit.  
I rozżarzone słońce nad przepaścią.  
I wichur, który smaga głązy,  
I burza, i wycie bitwy,  
I mgły jak stada owiec  
Na grzbietach gór,  
I wąskie flety źródeł,  
I rzewne skrzypce strumyków,  
I słońce olbrzymie,  
Wschodzące w bezbrzeżnym weselu  
Na dłoniach szczęśliwych świtów,  
I dobry deszcz,  
Zmywający dalekie zgrzebla gór,  
I bliskie iglice,  
Tak ciche, przytulne i tak przyjazne  
W ciepłym, przejrzystym powietrzu.

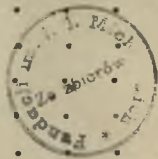
A świat śni o domu, w którym nie byłoby męki,  
A dom ten przyzywa łagodnie i ufnie  
W cienistych gałęziach smreków,  
A wolne stopy bez kajdan dni  
Zbliżają grzbiety gór  
I wełnę zieloną dolin.

Więc twarz podnoszę ku niebu  
Jak dumny zwycięzca,  
A niebo całuje mi oczy,  
A każdy biały obłok miły jest sercu i drogi,

A wieczór — to brat,  
Po brzegi wypełniony miłością,  
A gwiazdy jak złoty piasek  
Sypią się do studni nocy,  
A studnią jestem ja,  
I piaskiem złotym — ja,  
I zachwytem świata,  
I rosą chłodną pod stopami.

# T R E Ś Ć :

	Str.
Od tłumacza . . . . .	3
Słońce zachodzi . . . . .	7
Zmierzcha . . . . .	8
Wieczór nad morzem . . . . .	10
Noc . . . . .	11
Człowiek na ulicy . . . . .	12
Pod bramą szpitala . . . . .	13
Słota . . . . .	15
Burzliwa noc . . . . .	16
Warunek . . . . .	17
U progu . . . . .	19
Radość samotna . . . . .	20
Dzień w więzieniu . . . . .	22
Wiersz o pyle . . . . .	23
Deszcz . . . . .	25
Jesień . . . . .	26
Redukcje . . . . .	27
Księżyc . . . . .	28
Grudzień . . . . .	29
Mróz trzyma . . . . .	31
Koniec marca . . . . .	34
Śmierć obywatela . . . . .	35
Kino . . . . .	37
Wszyscy na placu . . . . .	39
Ustawy . . . . .	41
Poeci . . . . .	42
Propaganda . . . . .	43
Tysiąc razy siedem . . . . .	44
Tatry . . . . .	45









F

22.443